



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Legenda Pomorza

Author: Krzysztof Uniłowski

Citation style: Uniłowski Krzysztof. (1999). Legenda Pomorza. "Twórczość"
(Nr 1 (1999), s. 100-105)

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

LEGENDA POMORZA

Krzysztof Uniłowski

Podtytuł *Wypisy źródłowe* zobowiązuje. Wśród 126 zaś fragmentów, niby to przytoczeń z rozmaitych ksiąg świętych, dokumentów, dzieł literackich, jakie złożyły się na tę książkę, znalazł się zapis sygnowany tak oto: „Jerzy Limon: *Wieloryb* [fragment powieści], *Nurt*, czerwiec 1983, nr 6, s. 1, 22–4” (s. 256). Ten adres bibliograficzny akurat sprawdzić łatwo. Był więc *Wieloryb* przed laty, w zamyśle autora, „zwykłą” powieścią historyczną, poświęconą ostatniemu władcy Księstwa Pomorskiego i jego kanclerzowi, Deliusowi. Książka, którą obecnie otrzymaliśmy, powieścią zaś być nie chce. I to z wyboru. *Wieloryb* gardzi opowiadaniem, bowiem to ostatnie zbyt pochopnie kojarzy ze sobą fakty, manipulując przy tym właściwą czytelnikom czy słuchaczom potrzebą sensu. Helena Szymańska, która w *Wielorybie* występuje jako autorka wyboru zgromadzonych w książce wyimków, zaznacza: „Nie zgadzam się [...], by wydawca lub ktokolwiek inny połączył wypisy źródłowe jakąkolwiek narracją czy komentarzem. Uważam, że należy zerwać ze złą tradycją historiografii, w której historię «się pisze» niczym opowiadanie albo powieść [...]” (s. 8).

Między ogłoszeniem fragmentu pierwszej wersji utworu w *Nurcie* a ukończeniem książki sporo wody upłynęło w Odrze i wiele się zmieniło. Trudno się wyzbyć pokusy zapytania o przyczyny tych zmian. Najłatwiej szukać domniemanej inspiracji wśród dzieł obcych pisarzy. Czy autora *Wieloryba* nie ośmielił przypadkiem Umberto Eco? Mógł ośmielić (co prawda, znacznie krótsza droga do *Wieloryba* prowadziaby od Z. Mieczysława Porębskiego, któż jednak dziś pamięta o tej „po-wieści” sprzed dziesięciu lat). Skoro tak, nic prostszego nad uczynienie z *Wieloryba* kolejnej „pierwszej polskiej powieści (?) postmodernistycznej”. Tym bardziej że aż się prosi, by nasz utwór „podrasować”, plasując go w kontekście już to nowego historycyzmu, już to — krytyki narracyjności, jaką podjęli niektórzy myśliciele czy literaturoznawcy łączeni z postmodernizmem.

Czyniąc to wszystko, przedstawilibyśmy wszakże nasz utwór jako podobiznę innych „historiograficznych metapowieści”, kopię, która świeci zaledwie odbitym światłem. To zbyt łatwe. Nie tędy droga. Autora *Wieloryba* coś tam pewnie zainspirowało, sądzą jednak, że ostateczny zamysł utworu wziął się stąd, iż tradycyjne konwencje narracyjne nie mogły pomieścić problematyki, jaką autor zdecydował się podjąć. Miał szukać analogii, trzeba się skupić nad tym, co dla naszej książki specyficzne.

Wspomnianych 126 wypisów zostało ujętych w trzy części. Pierwsza obejmuje „teksty źródłowe” od czasów najdawniejszych po schyłek średniowiecza (spis treści odnotowuje 52 pozycje). W drugiej znalazły się wyimki (niby to świadectwa historyczne oraz fragmenty fikcyjnych utworów literackich) dotyczące wydarzeń z przełomu XVI i XVII wieku (zmierzch rodu Gryfitów, rozgrywki dyplomatyczne u progu wojny trzydziestoletniej, misja angielskiego aktora i agenta Richarda Jonesa — 68 pozycji). Część trzecia gromadzi dokumenty oraz literackie wizje wydarzeń współczesnych (m.in. wojna w Wietnamie, polski Sierpień 1980 roku, wojna domowa w dawnej Jugosławii). Spis treści odnotowuje tu zaledwie sześć pozycji, ale w istocie jest ich znacznie więcej (dzięki archiwum dokumentów, jakie zgromadziła Szymańska).

Wszystkie wątki legendarne i historyczne, które śledzimy w dużym zbliżeniu, okazują się potyczkami w zasadniczej, odwiecznej bitwie sił dobra i zła. Uczestniczą w niej wszyscy, wtajemniczeni i niewtajemniczeni. Rozgrywka o doraźne cele polityczne stanowi jedynie zasłonę dla tej najistotniejszej rywalizacji. Zakrawa to na paradoks: książka, która manifestacyjnie odcina się od narracji i fabuły, pochopnie i instrumentalnie gospodarujących naddanymi sensami i wykładniami historii; książka, która ma charakter antologii, zbioru „źródeł”, sama proponuje nader jednoznaczną wykładnię dziejów świata. Szymańska antologistka wykpiwa wiarę w porządek, jaki proponują narracje historyków, by zastąpić go innym, jeszcze bardziej „totalizującym”. Pod pokrywką dziejów jawnych, o których mówili dawni dziejopisowie i których nauczają współcześni historycy, rozgrywa się historia nieznana, tajemna, ale znacznie mniej skomplikowana. Po prostu: stronnicy dobra (prawdy, porządku, światła, cywilizacji) walczą ze stronnikami zła (kłamstwa, chaosu, ciemności, barbarzyństwa) o instrumenty zapewniające magiczną władzę nad światem.

Rzec można, iż autor *Wieloryba* postawił na głowie zasadę „podwójnego kodowania”. Wedle tej ostatniej, proza powieściowa winna również respektować oczekiwania mniej wyrobionego czytelnika. Głód opowieści zaspokoić można z pomocą sprawdzonych przepisów (sensacja, romans, kryminał, powieść obyczajowa). To „na powierzchni”. Wszelako najistotniejszy pozostaje „sens głęboki”, jakaś zakamuflowana rozgrywka metaliteracka, podgryzanie konwencji, którą z pozoru utwór respektuje; jakieś wyrafinowane paradoksy przedstawienia (i paradoksy filozoficzne), jakaś debata nad stanem współczesnej kultury (nie tylko tej masowej)... W *Wielorybie* dokładnie na odwrót. Gry formalne i intertekstualne, stylizacyjna orgia, literackość do entej potęgi — to wszystko widać gołym okiem. Prawdziwa uczta dla smakoszy, krytyków i literaturoznawców. A w środku czeka na nas wizja historiozoficzna żywcem wzięta z literatury *fantasy*! Tutaj wzorem dla autora *Wieloryba* nie mógł już być ani Eco, ani Porębski, o Parnickim nie wspominając (twórcy *Słowa i ciała*, owszem, przypisano jeden z utworów literackich, jakie przytoczono w książce). Natchnienia autor szukał prędzej u Tolkiena, Sapkowskiego czy Zgoła — nie żartuję — w serialu *Z archiwum X*. The Truth is out of There!

Nim wyjaśnimy, po co to wszystko i dlaczego *Wieloryb* pozostaje książką wyśmienitą, parę słów właśnie o tym, co „na powierzchni”. Bez dwóch zdań, autor książki zawiesił sobie poprzeczkę bardzo wysoko. Musiał przekonująco podrobić zarówno biblijne apokryfy, zapiski kronikarskie czy skandynawskie sagi (część pierwsza), jarmarczną literaturę epoki renesansu czy dramat elżbietański (część druga), jak również współczesną prozę sensacyjną (część trzecia). Z zadaniem tym na ogół uporał się wcale dobrze. Zważywszy na skalę trudności, czymś małostkowym byłoby wytykanie autorowi językowych anachronizmów, jakie tu i ówdzie popełnił. W średniowiecznym romansie rycerskim znaj-

dujemy zwrot „intensywna praca” (s. 63), zaś nieco dalej czytamy o „walecznych rycerzach, z których każdy miał na swoim koncie tak wiele chwalebnych czynów” (s. 89 — podkreśl. K. U.). Usterki i niekonsekwencje w stylizacyjnej robocie, powtarzam, można znaleźć, ale z naddatkiem wynagradza je świetność wielu innych partii.

Kto chce, ten pewnie może czytać książkę jako świetną literacką zabawę, grę z wieloma normami gatunkowymi i stylistycznymi. Odniosłem wszelako wrażenie, że te akurat kwestie dla samego autora nie były jakoś szczególnie ważne. Świadczy o tym choćby fragment przypisany Parnickiemu („Teodor Parnicki, fragment nie dokończony powieści pod roboczym tytułem *Reszta nie będzie milczeniem* [1972?], Biblioteka Narodowa w Warszawie, rękopis nr RP/12-a” — do odszukania na stronach 283—294), który prozy Parnickiego... nijak nie przypomina. A przecież jej styl jest tak charakterystyczny, że bardzo łatwo o pastisz późnych powieści tego autora. Stąd wniosek, że stylizacyjna rozgrywka nie była celem samym w sobie, choć w *Wielorybie* na ogół odnajdziemy udane podróbki.

Znacznie więcej wysiłku włożył autor w grę z prawdą historyczną, w uwiarygodnienie swoich mistyfikacji przez odnoszenie ich do realnych wydarzeń. Ta rozgrywka wydaje mi się szczególnie pasjonująca, choć nie każdy czytelnik będzie mógł ją śledzić (wymaga to sporych kompetencji historycznych). Gwoli przykładu: na stronach 52—53 znajdujemy list Stefana z Blois do małżonki (wedle informacji bibliograficznej przytoczony za *Histoire des Croisades* H. Bousseta, 1949, t. 1, s. 59—60 — nie trzeba dodawać, że dzieło takie naprawdę nie istnieje). Co z treści owego listu znajduje potwierdzenie w źródłach? Prawie wszystko! Bo Stefan z Blois był najbardziej wykształconym z baronów, którzy wzięli udział w I krucjacie, naprawdę korespondował z żoną, naprawdę zdezerterował podczas oblężenia Antiochii, naprawdę udał się do Konstantynopola i nie taił swojej fascynacji cesarzem Aleksym. Ba, wszystkie informacje o przebiegu krucjaty, jakie hrabia podaje, są prawdziwe (z jednym znaczącym wyjątkiem). Teraz autor *Wieloryba* wprowadza do listu Stefana uwagę, która wiąże ów list z zasadniczym motywem utworu. Hrabia opisuje otóż słynny epizod cudownego odnalezienia przez krzyżowców Świętej Włóczni i zastanawia się, w jaki sposób dotarła ona do Antiochii. Tu mamy już do czynienia z oczywistą mistyfikacją, ale starannie przygotowaną: „Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to dzicy wikingowie (z całym szacunkiem dla przodków Twego ojca) ją [Włócznię] z Ziemi Świętej zrabowali i wywieźli” (s. 53). Z całego listu Stefana tylko ten fragment wiąże go z resztą utworu. Słowa „z całym szacunkiem dla przodków Twego ojca!” mistyfikację uwiarygadniają, gdyż odnoszą się do prawdziwych koligacji rodzinnych. Trzeba tylko wiedzieć, że małżonka Stefana była córką Wilhelma Zdobywcy! Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że autor *Wieloryba* potrafi znakomicie wykorzystywać prawdę historyczną dla uwiarygodnienia swoich mistyfikacji.

Jednocześnie w tym samym miejscu autor popełnia zdumiewający błąd rzeczowy, zdumiewający, bo tyczy on najbardziej znanego wydarzenia spośród tych, jakie opisuje Stefan. Świętej Włóczni nie odnalazł bowiem sam Rajmund z Tuluzy, jak czytamy w *Wielorybie*. Czytelnicy *Krzyżowców* Kossak-Szczuckiej są zapewne przyzwyczajeni do wersji, że rzekomą włócznię podrzucił do wykopu Bohemund z Antiochii, co stanowiło jednak wyłącznie literacką interpretację zdarzeń. Historyk tak relacjonuje wypadki: „Zrezygnowawszy hrabia [Rajmund] opuścił katedrę. W końcu Piotr [służący, który dostał objawienia tyczącego Włóczni], odziany w samą koszulę, zeskokczył do wykopu. Wezwawszy obecnych do modlitwy, z tryumfem pokazał kawałek żelaza” (opis Stevena Runcimana). Zatem Piotr, nie Rajmund. Zwykły lapsus, dormitat Homerus? A może

celowa nieścisłość, gra z czytelnikiem, sygnał podkreślający fikcyjność rzekomego dokumentu (listu Stefana); nieustanne przekraczanie granicy między prawdą a zmyśleniem, źródłem a mistyfikacją?

Na dobrą sprawę tego rodzaju krytykę wypadałoby przeprowadzić w odniesieniu do wszystkich 126 fragmentów, jakie znalazły się w tej książce. Warto się w ten sposób pobawić z tekstem *Wieloryba*, gdyż wypływają stąd pewne nauki. W pierwszym rzędzie konieczność zachowania sporej ostrożności i dużej dozy krytycyzmu. Autor gra znacznymi kartami, oszukuje, dając nam wyraźnie do zrozumienia, że nie czyni nic innego. Wszystko to każe podejrzliwie traktować samą instytucję źródła historycznego, odbiera nam prawo do bez troskłej naiwności, ale też — śledztwa, jakie musimy tu przeprowadzać bywają pasjonujące. Zwłaszcza gdy rzecz dotyczy już nie I krucjaty, lecz... wypadków z sierpnia 1980 roku.

Tak to bowiem z *Wielorybem* sprawy się mają, że książka ta — z jednej strony — nakazuje bardzo sceptycznie traktować wszelkie narracje tyżące historii, z drugiej zaś — sama takąż narracją próbuje nas uwieść. Oczywiście, jest to opowieść bardzo wątpliwej próby, jeśli chodzi o jej wiarygodność. Nie ma strachu, nie wyobrażam sobie czytelnika, który byłby gotów uwierzyć, że o losach świata rozstrzyga konflikt rodem z powieści *fantasy*. A jednocześnie trudno się od tej historii oderwać. Być może rację mają ci, którzy twierdzą, że jedynie prawda jest ciekawa. Wszelako doświadczenie uczy, że tylko mit naprawdę pociąga.

Wszystko spoczywa w rękach czytelnika. Został ostrzeżony na wszelkie możliwe sposoby. Jeśli powiąże zgromadzone w tekście „wypisy” w spójną historię, jeśli uzupełni książkę o nieobecną w niej opowieść, to uczyni tak on, czytelnik, na własną odpowiedzialność. Książka, dodajmy, prowokuje go ku temu. Nic łatwiejszego, jak właśnie uporządkować „wypisy” w fabularno-narracyjny ciąg. Oczywiście, otrzymamy w ten sposób jedynie historię fikcyjną, niewiarygodną, lecz jakże pociągającą i wzruszającą. Kto tym urokom oprzeć się zdoła?

Cóż, trzeba zatem ruszyć w tany i cnotę ocalić. Pozwolić, by pochłonęła nas fikcja i, oczywiście, nie zapomnieć, że jedynie fikcję, chimerę historii tutaj ścigamy. A trzeba tak postąpić nie tylko dla estetycznych wzruszeń.

Gotów byłbym zaryzykować twierdzenie, iż *Wieloryb* jest czymś grubo więcej niż zabawą literacką (stylizacją) czy grą z historią. Ta książka plasuje się w samym centrum dzisiejszych kontrowersji literackich i krytycznych. Teza, że wszystko, co najważniejsze i najlepsze w najnowszej literaturze, bierze się z podniet lokalnych, z lokalnych historii, lokalnych mitologii, lokalnych tradycji — taka teza ma już licznych rzeczników. Wszelako czymś ważniejszym, intelektualnie uczciwszym od powrotu do „źródeł i korzeni” wydaje mi się zdanie sprawy z ich braku. Powrót dokonywałby się bowiem za cenę słodkiego zapomnienia o owym braku. Na deficyt „źródeł i korzeni” trzeba odpowiedzieć ich wymyśleniem — tak to mniej więcej wygląda. Pewnie, że przyjemnie jest sądzić, że odrodzona Rzeczpospolita oraz jej mieszkańcy to w prostej linii spadkobiercy najlepszych tradycji Niepodległej. Tymczasem między nami a Niepodległą sprzed dziesięcioleci w istocie zionie przepaść. Taka sama przepaść, jak między dzisiejszym Gdańskiem a pewnym nie istniejącym miastem o tysiącletniej historii, między śląskim familokiem a blokowiskiem. Powiem wprost, nie interesuje mnie chwyt polegający na przekreśleniu tego, co jest, w imię tego, co jakoby prawdziwie trwa. Dlatego program „literatury korzennej” uważam za intelektualną hucpę.

Trzeba więc ową „przepaść” dopuścić do głosu. I właśnie *Wieloryb* świetnie to czyni.

Bo przecież mamy tu do czynienia z kreacją, z jawną kreacją legendy Pomorza. To tutaj, między Wolinem a Gdańskiem, na linii, która jest zarazem granicą między światem (zachodniej) cywilizacji a *terra incognita*, kartograficzną białą plamą, rozstrzyga się — wedle powieści — najistotniejsza batalia o władzę nad światem. Walka toczy się od wieków. Swoją rolę odegrali w niej wikingowie, kupcy z Wolina, mieszkańcy Arkony, tajemnicze bractwo jomsborskie, templariusze, książęta pomorscy, wywiad amerykański i... gdańscy stoczniovcy. Świadczą o niej zapomniane apokryfy i kroniki, proroctwa Nostradamusa, tajne dokumenty. Każdy moment przesilenia w tej rywalizacji zapowiada cudowny znak — pojawienie się wieloryba na brzegu Bałtyku...

Tak, legenda, o której opowiada *Wieloryb*, jest wymysłem. Fikcja to pociągająca, która wspaniale potrafi zatrudnić wyobraźnię, ale też nie jest niczym więcej niż fikcją i niczym więcej być nie chce. A jest tylko tym, bo niczym więcej nie może być opowieść o Pomorzu. Historie i opowieści należą wyłącznie do zwycięzców, a Pomorze nigdy nie było ich ojczyzną. Pozostało krainą bez historii, krainą, której odebrano prawo do własnej narracji:

„Nie było tu sławnych bitew ani wielkich czynów bohaterów, o jakich czytamy w podręcznikach historii. A jeśli były, to zapadły w mrok przeszłości, zapisane nie w głównych kronikach swoich czasów, lecz w językach, które być może przez przypadek nie podbiły świata, ujęte w zaginionych bądź przez historyków pominiętych annałach, zagubione w czasie przeszłym zapomnianym, który może jeszcze zachował się tylko w gramatyce języka wielkiej rzeki [tj. *Odry* — przyp. K.U.]. A może tak się złożyło, że tutaj wielkie czyny i wielcy ludzie, herosi, wodzowie, należeli zawsze do strony przegranej, przez co zignorowani zostali przez historyków i dziejopisów zwycięzców. Albowiem spisane dzieje są tworem pamięci tych, którzy zwyciężyli i swoje zwycięstwo mogli również zaznaczyć słowem. W dużej mierze to o słowo i o historię toczą się wojny, o to, kto ją napisze” (s. 332).

Te słowa możemy znaleźć w tekście przypisanym nie byle komu, bo Josephowi Conradowi. Korespondują z nimi uwagi podróżnika, który odwiedził tereny walk i intryg, o jakich opowiada druga część książki, w kilkadziesiąt lat później:

„W zajeździe tym widzieliśmy jeden z dziwów natury: kość wieloryba, która wisiała wewnątrz na odrzwiach [...]. Karczmarz mówił nam, że kiedyś można było na niej dostrzec jakieś dziwne znaki, niczym jakiś napis, ale teraz już ani śladu z tego nie pozostało. W środku była wydrążona niczym futerał na jakiś dokument. Taka jest nasza wiedza o przeszłości: niby wiemy, że coś się kiedyś zdarzyło, ale co, kiedy i w jaki sposób i jakie miało następstwa — tego już nie jesteśmy w stanie odtworzyć. Przeszłość jest jak ten pusty futerał, jak wydrążona kość, która nic już nie znaczy” (s. 325—326).

Ironiczna pointa, bo pokryta niegdyś runami kość wieloryba jest nie tylko nieczytelnym świadectwem dziejów, lecz jednym z przedmiotów magicznych, o które rywalizowano. Tu, w roli karczemnej ozdoby, pseudoamuletu, stanowi jedynie alegorię „pustej” przeszłości, mgły, jaka skryła dzieje, które zapewne jakieś były.

Ukryta w *Wielorybie* opowieść jest więc wyłącznie fantazją, opowieścią naniesioną na pustą kartkę, nie po to jednak, by ją wypełnić, by zapomnieć o tym, co zostało zatarte, lecz przeciwnie — po to, by o tym wszystkim przypomnieć, by uwyliczyć brak. Właśnie dlatego musiała być opowieścią tandetną, niewiarygodną, rodem z fantastycznej prozy. W trzeciej części Garmund, niegdyś wiking, „strażnik miecza”, który — jak Percival — nie sprostął próbie, teraz, w nowym wcieleniu, agent amerykański (wtajemniczony w sekretne dzieje), upora się ze swoim zadaniem i odwróci bieg dziejów. Pomoże Lechowi

Walcieście w słynnym skoku przez bramę Stoczni im. Lenina! Właśnie ta i inne jawne kpiny z prawdziwej historii każą myśleć o tym wszystkim, co znalazło się poza historią.

Ja, trudna rada, w tym momencie pomyślałem o Śląsku, innym regionie wtrąconym w milczenie. Nie wierzę, by powiodły się próby zmitologizowania go, wykreowania jakiejś literackiej wizji tego regionu. Na to już za późno. Mogło się to udać z Kresami, powiodło jeszcze sto lat temu w wypadku Tatr. Dzisiaj nazbyt świadomi i wyczuleni jesteśmy na tego rodzaju mistyfikacje. O Śląsku można dziś mówić jedynie na sposób archeologów, tj. w obcym mu języku. Co oczywiście nie znaczy, że dawny Śląsk czy Pomorze nie istnieją. Przetrwały ich szczątki. Czynić zeń nawóz dla literackiej legendy w kresowym czy tatrzańskim stylu nie warto, bo w takim przekładzie zawsze przepadnie bez śladu to, co najważniejsze — inność. I nie warto też udawać, że rozumie się, odtwarza albo powieła to, co jest już tylko zatartym napisem. Ale jest!

Wieloryb przypomniał mi też o pewnym epizodzie. Parę lat temu spędzałem urlop w Chłapowie. W sklepie spożywczym ekspedientka rozmawiała ze stojącymi przede mną w kolejce gospodyniami po kaszubsku. Nie rozumiałem ani słowa! Tamto spotkanie z Innym sprzed kilku lat powróciło podczas lektury *Wieloryba*.

Ta książka proponuje znakomitą rozrywkę. Można śledzić, jak jej autor radzi sobie ze stylizacyjnymi powinnościami, można sprawdzać, w jaki sposób igra z historią. Można też postawić na atrakcyjność owej fantastycznej historii, która potrafi zaintrygować mimo swej niewiarygodności. Można jeszcze inaczej. Jest ciekawą rzeczą, że w poszczególnych częściach utworu mamy do czynienia z pastiszami gatunków plasujących się coraz niżej w genologicznej hierarchii. Od tekstów sakralnych i eposu po sensacyjną powieść i komiks! Czy to coś mówi o współczesnej kulturze? *Wieloryb* skłania również do takich przemyśleń. Dla mnie jest wszelako przede wszystkim pomnikiem, jaki autor książki wystawił inności Innego. O Innym nigdy nie powiemy prawdy. Przestałby być wtedy sobą, Innym.

Jedno tylko zastrzeżenie: autor nie podpisał swojej książki. Nawet *copyright* na stronice z danymi technicznymi dotyczy Heleny Szymańskiej, rzekomej antologistki. Łatwo objaśnić sobie sens takiego zabiegu, który znakomicie się tłumaczy w ramach mistyfikacyjnej strategii. Utwór w konwencji „źródłowych wypisów” nie może mieć autora! Rozumiem. Wszelako nie potrafię się uwolnić od irracjonalnej, atawistycznej myśli, iż brak odautorskiej sygnatury czyni z książki jedynie przemyślnie skonstruowaną zabawkę, którą sam autor traktuje z przymrużeniem oka. Owszem, ta myśl to jedynie odruch ukształtowany przez kulturę literacką, zwyczajowo przywiązującą szczególne znaczenie do aktu autoryzacji dzieła. Ale też ów odruch jest złą wróżbą, jeśli chodzi o recepcję książki. Chciałbym się mylić...

Krzysztof Uniłowski